CZYTELNIA NIEDZIELNA.

ROK PIERWSZY, 1856.

WARSZAWA.

W DRUKARNI JÓZEFA UNGER.

przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 391.

1856.

№ 1.

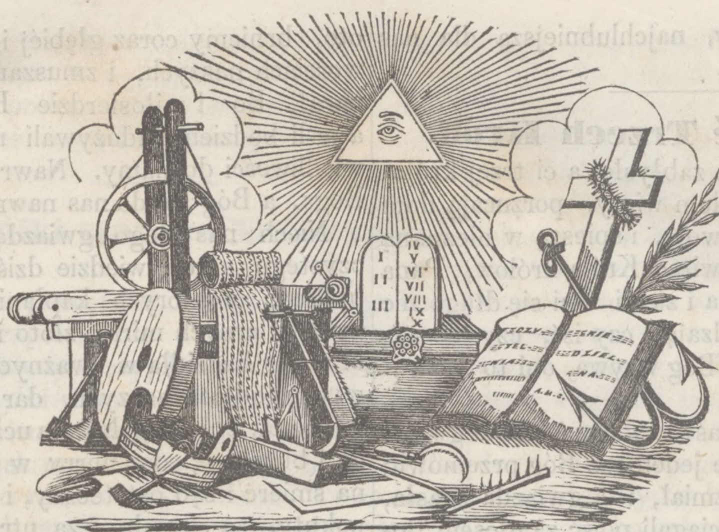
Warszawa.

Dnia 25 Grudnia
(6 Stycznia)

1855/6.

Niedziela

TRZECH KRÓLI.



KANTOR GŁÓWNY
W DRUKARNI J. UNGER
przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 391.

PRENUMERATA
rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k. sr. 15.
Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych Warszaw. płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

„Boże, który dnia dzisiejszego, Jednorodzonego Syna Twego, poganom, za przewodnictwem gwiazdy objawiłeś, spraw litościwie, abyśmy, którzy Cię jak przez wiarę poznali, oglądać niepojętą chwalę Twoję zasłużyli.“ (Modlitwa Kościelna na Niedzielę Trzech Króli).

WSTĘP.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Z tém starodawném pozdrowieniem, i my was witamy, nasi Czytelnicy, w téj pierwszéj niedzieli nowego roku 1856.

Słowa te pozdrowienia, które na naszéj ziemi były i są godłami szczerego uczucia i przyjaźni, niech dla was pozostaną rękojmią, że chcemy zawitać w wasze progi, i przynieść wam dar dla duszy i serca, na jaki nas stanie, a prosić o gościnność i chętne przyjęcie pisma naszego.

Rozpoczynamy je w Imie Boże, nie dla żadnych zysków, ani widoków ziemskich, ale jedynie, aby podać wam, w chwili odetchnienia po całotygodniowéj pracy, miłą rozrywkę i naukę według zakonu Bożego. Chcemy się z wami podzielić tém, cośmy już potrafili zdobyć z łaski Opatrzności, czy to na polu nauki, czy z doświadczenia własnego. Chcemy zwrócić baczną uwagę waszą na ważność obowiązków każdego, jako członka wielkiéj rodziny społecznéj, połączonéj w jeden zgodny wieniec wzajemną miłością i bratniem podawaniem dłoni w dobréj i w złéj doli. Wskażemy wam, jak każdy w téj rodzinie powinien odpowiedzieć swemu powołaniu, aby godnie zajmował swoje stanowisko; nie przepomnim o obchodzącéj cały ogół przemysłowy sprawie, nowych wynalazków, czy to w udoskonaleniu jakiego rzemiosła, czy w szczęśliwym pomyśle do ulżenia wam ciężkiéj a mozolnéj pracy.

Oto główne zadanie naszéj *Czytelni*, z którego jedynie przy waszéj pomocy, opartéj na rozpowszechnianiu niniejszego pisma, wywiązać się zdołamy.

Rozpowszechnienie to, jest wam ułatwione, albowiem grosz jeden od codziennego oszczędzony zarobku, wystarczy wam na pokrycie kosztów utrzymania pisma, skoro takowe tylko jednę złotówkę miesięcznie wynosi.

Prawdą i *pracą*, które waszem powinno być godłem, i my zaczynamy naszą *Czytelnię*. Prawdę opartą na prawie Bożém pragniem upowszechniać, i w niéj téż znajdziecie wskazówkę jak żyć należy w trudzie, a oszczędności.

Otwórzcie więc gościnnie wasze skromne podwoje, na przyjęcie naszego pisma, którego celem jest wnieść w progi wasze naukę i rozrywkę. Przyjęcie chętne z waszéj strony, bę-

dzie za łożone trudy, najchlubniejszą dla nas nagrodą.

Uroczystość Trzech Króli.

Zaledwie gwiazdka zabłysła, a ci trzej królowie, objaśnieni światłem wiary, porzucają dom swój, kraj, rodzinę swoję, i spieszą w nieznaną obcą krainę, aby powitać Króla królów, Pana panów, Stwórcę nieba i ziemi. Oni się długo nie namyślają, nie naradzają, czy iść, czy nie iść, i jaką wybrać drogę. Bóg wzywa, oni to wezwanie pojęli i poszli.

I nam już nieraz zaświeciła w życiu ta gwiazda Boska, i do nas nie jeden raz Bóg przemówił; ale i ten głos przebrzmiał, i ta gwiazda zgasła, dlatego, żeśmy się ociągali pójść za głosem Bożym, żeśmy się wzbraniali pójść za gwiazdą Bożą, bo głos namiętności huczał zanadto głośno w duszy naszéj, bo ciemnota i złość nasza ćmiła ten blask wiary w głębi serca naszego, bośmy się jeszcze z Bogiem targowali, miłując zanadto ten świat pełen złudy wokoło nas, ten świat pełen miłości własnéj w nas samych.

Czém była ta stajenka Betleemska dla królów, tém jest kościół dla nas; czém żłobek, tém jest ołtarz; gwiazda królów, a nas wiara na to miejsce święte prowadzi dla oddania czci i pokłonu Panu Jezusowi.

Obdarzeni łaskami wrócili królowie do domu swego i my z łaską Boga z kościoła wrócimy do domu, jeśli nasze przyjście i zachowanie się w kościele było podobne do przyjścia i zachowania się tych trzech królów.

Gdy przyjdzie niedziela i święto, każdy z nas, pomnąc na to przykazanie obowiązujące pod ciężkim grzechem śmiertelnym, spieszy do kościoła na wysłuchanie mszy świętéj, ale to bieda, że wielu z nas spieszy tylko dla zwyczaju, a nie spieszy sercem, że tego słuchania mszy świętéj nie poczytuje za łaskę, ale za ciężki i przykry obowiązek.

Oj! nie w takiémto usposobieniu odwiedzali trzéj królowie nowonarodzone Dzieciątko Jezus. Oni przez całą drogę gotowali się do tych odwiedzin: serca ich były pełne miłości i wdzięczności, ręce ich niosły dary złoto, kadzidło i mirrę: a Dzieciątko Jezus błogosławiło ich błogosławieństwem doczesném i wieczném.

Bóg zsyła na ludzi wojny, niezgody, zarazy, choroby, nieurodzaje, a my widząc te kary Boskie, cóż czynimy na przebłaganie gniewu Jego? oto, brniemy coraz głębiéj i głębiéj w nieprawościach naszych, i zmuszamy Boga, aby nas karał. Bo i miłosierdzie Boskie ma granice, a jeśli będziem nadużywali miłosierdzia, sprawiedliwości doznamy. Nawróćmy się więc do Boga, a Bóg się do nas nawróci.

Niech nas Jego gwiazda widzialna ludziom czystego serca wiedzie dziś do świętych przybytków, w których kapłani święcą podawane przez wiernych mirrę, złoto i kadzidło. Złóżmy Mu dar kadzidła w uważnych, gorących i tkliwych modłach naszych, dar złota w mocnych postanowieniach pełnienia uczynków miłości Boga i bliźniego; dar mirry w obudzonéj pamięci na śmierć i sąd ostateczny, i w ofierze w duchu pokuty, za grzechy, za utrapienia i cierpienia tak od Niego nam zesłane, jak i dobrowolnie przez nas podejmowane.

W przyszły piątek kościół święty obchodzi pamiątkę Sgo Aleksandra Węglarza. Życiorys tego rzemieślnika godnego całéj czci naszéj, w następującym Numerze Czytelni podamy.

NIEDZIELA.

Zkądże dziś człeku tyle swobody?
Zkąd sercu tyle wesela?
Spoczywa stary, cieszy się młody,
To Boży dzionek, *Niedziela!*

Biją na wieżach dzwony spiżowe,
W kościołach zgodne brzmią głosy,
Człek z prochu ziemi podnosi głowę,
I rad pogląda w *Niebiosy*.

Dokoła matek garną się dziatki,
Brat bratu rady udziela,
Rzemieślnik gwarzy w kole czeladki,
Bo to dzień *Boży*, *Niedziela*!

Jakże szczęśliwy ten, kto wytrwale
Tydzień pracował dla ludzi,
Gdy go w *Niedzielę* ku Bożéj chwale
Dzwon na modlitwę przebudzi!

Ale szczęśliwszy, o bracia moi,
Kto przeżył w trudzie dni wiele,
A jednak śmiało przy krzyżu stoi,
Bóg w końcu da mu *Niedzielę*.

Gdy Chrystus głowę na krzyżu skłania
W dzień smutny, Wielkopiątkowy,
Anioł w *Niedzielę* zmartwychpowstania
Odwala kamień grobowy.

Bracia! pracujmy cierpliwie z Bogiem:
Pan wiernym łaski udziela,
Bo życie próbą, grób Nieba progiem,
A w Niebie wieczna *Niedziela!*

Pamiętniki starego Nauczyciela.

—

Zaczynam pamiętniki od opisania swego dzieciństwa i wspomnienia o tych dobrodziejach, którzy mię kiedyś przyjęli do swego domu, przytulili, nauczyli i wykierowali na człowieka, który nie był ludziom ciężarem, a i dziś w starości, stara się jak może wyświadczać innym to dobro, jakiego sam doznał od ludzi. To co wiem o pierwszych latach mojego życia, słyszałem od matki mojéj, dawno już w grobie będącéj, a o któréj nigdy bez rozrzewnienia mówić nie mogę. Dawno to temu, przeszło pięćdziesiąt już lat, ojciec mój był kowalem w niewielkiéj wioseczce Sniadkowie, na dużym gościńcu między Sochaczewem a Warszawą. Chałupa nasza stała na samym końcu wsi, a o kilkanaście kroków od niéj była kuźnia, w któréj ojciec mój od rana do wieczora wciąż robił młotem, zajęty robotą to dworską, to dla przejeżdżających panów lub chłopków. Dawniéj nie było dróg bitych, jakie teraz mamy, a piaski były dokoła i tak głębokie, że w jesieni najlżejszy pojazd ledwo konie z błota wyciągnąć zdołały i to rzadko bez jakiéj szkody. Temu oś pękła, temu resory, temu koń się rozkuł, a wszyscy, którym bliżéj taki wypadek się zdarzył, zdążali do Sniadkowa, do kowala Dobruckiego, tak się mój ojciec nazywał. Roboty zawsze było dosyć, a chociaż ojciec mój nie korzystał z cudzéj biedy, brał umiarkowane wynagrodzenie, Pan Bóg błogosławił, dobytek się pomnażał, ale pieniądze to jakoś się nie trzymały. Byle kto ze wsi swojéj lub nawet i cudzéj, przyjdzie bywało do ojca, a zacznie prosić, a wystawiać swoje nieszczęście, ojciec nigdy nie odmówił, zawsze dopomógł, za co mu też Pan Bóg potém na mnie zapłacił. Matka moja, kobiéta gospodarna a skrzętna, była od rana do wieczora na nogach, to gościom usłużyć, bo i z panów niejeden wolał u nas czem się posilić, niż w karczmie u żyda, to ogrodem się zająć, to wreszcie sobie strawę przyrządzić i tak czas upływał w ciągłém zajęciu, wesoło; bieda nie zaglądała, zdawało się, że nieszczęście już i nawiedzić nigdy nie może. Po kilku latach pożycia ich z sobą, ja przyszedłem na świat, i cieszył się ojciec swoim jedynakiem, a matka to już nie wiedziała, co ze mną począć. Na chwilę nie zostawiała mnie samego: czy szła pleć do ogrodu, czy przy kuchni strawę przyrządzała, ja byłem jak przyrosły do jéj ręku. Ale na świecie ani szczęścia stałego, ani smutków ciągłych niéma; jakoś tak wszystko się przeplata, to pogoda, to słota, to radość, to smutek. Raz, już późno wieczorem, a było to jakoś na jesieni, zaszedł do naszéj chałupy jakiś podróżny, a tak blado i nędznie wyglądał, jakby po wielkiéj chorobie; przyszedł i prosi ojca o nocleg. Ojciec nigdy biednym nie odmawiał, a tu jeszcze podróżny strudzony i chory; w karczmie żyd mu miejsca dać nie chciał, bo czémżeby biedak zapłacił? musiałby spać pod gołem niebem; przyjął go więc ojciec, i strawą wieczorną z nim się podzielił, a po wieczerzy dał mu posłanie w komorze i sam już także do snu się zabierał. Nim jednak dochód z dnia całego obliczył, nim pacierze odmówił, upłynęło dość czasu, aż razem patrzy przez okno: jasność na niebie; o! to gdzieś ogień, woła mój ojciec, z izby wypada przed chałupę i widzi, w samym środku wsi chata Michałowéj cała już w ogniu stoi. Ojciec mój nie czekając, bierze drabinę, siekierę i leci na ratunek; matka także wyszła przed dom, cała strwożona, patrzy i żegna się, pacierz odmawia i sama nie wie, czy z izby rzeczy wynosić, czy czekać, bo jasność coraz się zwiększa, wiatr się zrywa i wprost na naszą chatę ogień pędzi. Wraca też zaraz i ojciec na ratunek własnego domu, bo skry już na nasz dach lecą, i słoma tlić się zaczyna. Wy co w mieście mieszkacie, a straż ogniową macie pod ręką, nie możecie mieć wyobrażenia, co się dzieje we wsi, gdy się w niéj chaty palić zaczną; słoma, którą dachy pokryte, to od byle iskry się zajmuje; a sposobów pokrywania domów tanim a zabezpieczającym od pożaru sposobem u nas nie znali, sikawek do gaszenia pożaru nigdzie we wsiach nie zaprowadzali; ani więc sposobu żadnego ratowania nie było. Panowie także mieli więcéj szkody, bo zabudowania nie były zabezpieczone od ognia, tak jak to teraz ma miejsce; kiedy więc komu wieś zgorzała, a oszczędności nie było, pan nim się odbudował, nie miał gdzie ludzi pomieścić, a chłopek często z gospodarza musiał iść do innéj wsi za parobka. Na nasze większe nieszczęście, ogień ominąwszy pośrednie chaty, na nasz dom się przerzucił i

w mgnieniu oka, tak prędko jak ja teraz to mówię, całe zabudowanie ogarnął. Co było można, tośmy uratowali, a do kuźni znieśli; tę jednę mieliśmy jeszcze ucieczkę. Wtém przypomina ojciec, że w popłochu nie otworzyliśmy komory, w któréj spoczywa podróżny; porzuca więc mnie z matką, a sam biegnie do chaty. Napróżno matka nań woła, żeby się zatrzymał, że ogień już z okien bucha; ojciec nie słyszy, a widząc w niebezpieczeństwie życie bliźniego, wbiega do palącéj się izby, porywa na swe barki podróżnego, ale ogień za nim do komory wpada, zapala suknie i włosy, smali twarz, a dym oddech mu tamuje. Pada ojciec z ciężarem swym na progu i oba razme giną w płomieniach, pod walącemi się belkami. Nie miała matka moja dość łez, żeby swą boleść opłakać, nie miała dość słów, żeby swój żal wyrazić, patrzała tylko na mnie a całowała i mówiła: „tyś mi jeden pozostał na świecie, ty mi teraz wszystkiém będziesz, tak jak i ja będę wszystkiém dla ciebie. Nie masz już ani ojca, ani domu, tyś sierota, biedne dziecię moje,“ i płakać chciała, ale od żalu wielkiego łzy nie szły do oczu, tylko wzrokiem osłupiałym patrzyła to na mnie, to na ogień, który pożerał wszystkie jéj nadzieje na przyszłość. A kiedy sąsiedzi wyciągnęli ojca, już po ugaszeniu ognia, ledwo ślady Boskiego stworzenia na nim zostały. Pochowaliśmy go z płaczem, a matka moja z dostatniéj gospodyni została ubogą wdową; bo ogród, co do jéj chaty należał, pan oddał innemu kowalowi, a z kuźni także trzeba było ustąpić, i przed zimą nie było gdzie się przytulić, gdzie się od zimna uchronić i noc spokojną przepędzić. Chodziła od domu do domu, ale nikt przyjąć nie chciał ubogiéj z sierotą, a ci którym rodzice moi świadczyli tyle dobrego, lub całkiem się długu wyparli, lub mówili, że go już dawno spłacili. Lepsi i bogobojniejsi litowali się nad jéj stanem, ale nic dać nie mogli, bo sami nie mieli, a takim sposobem matka moja przekonała się tylko, że ludzie często za dobre złem odpłacają, nie pamiętając na to, że Chrystus i za złe nawet, dobrem płacić każe. Ale jest Bóg! Ten nie opuszcza sieroty i prędzéj lub późniéj okazuje miłosierdzie Swoje, byleby tylko człowiek z ufnością do Niego się uciekał, a w biédzie rąk nie opuszczał. Po długiém tułaniu się od chaty do chaty, w najtęższe zimna, matka moja, wysłuchawszy mszy świętéj w wiejskim kościołku, udała się ze mną na ręku do Warszawy, żeby tam wynaléźć sobie służbę odpowiednią, a znając się dobrze na kuchni, bo kiedyś po dworach sługiwała, spodziewała się dostać do jakiego domu za kucharkę, by zarobić na utrzymanie siebie i dziecka. Mając więc mały zapasik w kieszeni, uzbierany ze sprzedaży pozostałéj odzieży i uratowanych sprzętów, poszła do miasta, a drogą ciągle tylko płakała i modliła się do Matki Boskiéj, odmawiając modlitwę: pod Twoję obronę uciekamy się Matko Najświętsza! Szła tak noc całą, a gdy nadedniem przyszła do Warszawy, strudzona podróżą, usiadła przed jednym dużym domem na ławeczce, żeby sobie spocząć i kawałkiem chleba czerstwego się posilić. Wyglądała biednie z odzieży, a blada i schorzała na twarzy, wzbudzała litość w każdym, kto ją tylko tu widział siedzącą. Wkrótce jedna z osób litościwych dała znać księdzu, co w tym domu mieszkał, że jakaś kobiéta z dzieckiem siedzi na ławce. Zaraz téż wyszedł ksiądz do niéj i łagodnie zapytał: a co to, kobiéto, czy chcecie dziecko oddać do klasztoru? tu właśnie jest Szpital Dzieciątka JEZUS. Matka moja powstała, ukłoniła się księdzu i opowiedziała mu, jakie się jéj przytrafiło nieszczęście. Słowa jéj były tak szczere, tak pełne prawdy, tyle było żalu w jéj mowie, a tyle miłości do dziecka, na które ciągle spoglądała, że ksiądz rozczulony kazał jéj iść za sobą, a zaprowadziwszy do sali chorych, polecił przynieść ciepłéj strawy dla niéj saméj i dla dziecka. A kiedy siły swoje wzmocniła, ksiądz do niéj przemówił: ty, kobieto, łatwo do sił przyjść możesz, jesteś jeszcze młodą, i na utrzymanie swoje zapracujesz, ale cóż zrobisz z biedną dzieciną? — O, gdzie ja będę, tam i dziecko moje być musi, odpowiedziała matka. Ależ dziecko będzie ci w pracy przeszkadzać, i niełatwo znajdziesz służbę, gdzieby cię z niém razem przyjęto: oto ja ci dam dobrą radę: zostaw dziecko u nas, niech się tu bawi razem z innemi, a po latach kilku odbierzesz je sobie, jeżeli nadal zostawić nie zechcesz. My tu właściwie przyjmujemy tylko sieroty, a twoje nie jest taką sierotą, dla jakich dom ten wybudowany.—„Jakto? to moje dziecko nie jest sierotą?—zawoła matka,—ojciec zginął ratując bliźniego, matka opuszczona, bez opieki i bez chleba, i takie dziecko nie sierota?“„Widzisz moja kobiéto, są różne sieroty na świecie. Gdy komu ojciec umrze, dziecko ma jeszcze w matce opiekę, gdy i matka zejdzie ze świata, znajdą się

krewni, przyjaciele lub dobrzy ludzie, co dziecko przytulą, bo Bóg przykazał nakarmić głodnego, przyodziać nagiego; ale są inne sieroty, których ojciec własny nigdy nie znał, których się matka zaparła, co nigdy nie znajdą ni krewnych, ni przyjaciół rodziców, których ludzie częstokroć odepchną, jako dzieci hańby i bezwstydu: dla tych tylko Bóg jest opieką. On ten dom wymurował, On tu nas posłał, żebyśmy podejmowali biedne sieroty, podrzucone przez własne matki.“ „A czyż są takie matki?—zawołała moja najmilsza rodzicielka.— O są, i jest ich dużo, a dom ten ledwo pomieścić może sieroty.—Na tę rozmowę księdza z moją matką, ci co byli mniéj słabi, zbliżyli się do nas i otoczyli nas dokoła, a mocniej chorzy popodnosili głowy, żeby lepiéj rozumiéć słowa, co do ich uszu dolatywały. Jeden z nich nawet wmieszał się do rozmowy i zapytał:—proszę księdza Ambrożego dobrodzieja, kto to ten pan, co taki dom dla biednych wystawił? musiał to być jaki bogacz, bo takich pałaców to mało w Warszawie.—A ksiądz na to: nie bogacz żaden dom ten wystawił; stoi on z jałmużn uzbieranych po miejscach publicznych, po kawiarniach, balach, salach, po domach prywatnych. I z tych groszy, składanych do kupy urosły takie pieniądze, że wystarczyły na założenie tego domu schronienia dla nieszczęścia i nędzy.— A kto zbierał tę jałmużnę? — zapytała matka.— Był tu właśnie przedemną jeden ksiądz pobożny, nazwiskiem Boduen, pamiętajcie dobrze to nazwisko, otóż bolało go serce patrząc na zepsucie miasta, jak panowie w zbytkach trwonili dostatki, a nędza pod dachem umierała z głodu, jak nawet rzemieślnicy, naśladując wielmożnych, wykraczali przeciw przykazaniom Boskim, jak kobiéty puszczały się na życie rozpustne, a biédne niemowlęta po różnych miejscach miasta podrzucone, nieraz jękiem boleści krwawiły serce poczciwego kapłana. Podjął on kilka tych sierotek, wziął do swego domu, najął do nich mamki i miał o dziatkach staranie. Wkrótce w mieście dowiedziano się o tém, i codzień, codzień znoszono mu dzieci przed bramę, tak że już ani miejsca gdzie ich pomieścić nie było, ani mamki za co nająć, ani sposobów, by ich wyżywić. Smucił się ksiądz Boduen, aż na raz przychodzi mu myśl do głowy: wystawić klasztor, gdzieby wszystkie takie sieroty mogły być umieszczone. Zaraz więc wziął się do wykonania, ale jak? bez grosza w kieszeni, tylko z wiarą w Boga i z ufnością w Jego miłosierdzie bez granic. Codzień z rana po zwykłych modlitwach wychodził z tacką na miasto, a gdzie tylko zaszedł, czy do kawiarni, czy do jakiego domu prywatnego, wyciągał tacę i prosił o jaki datek dla biédnych dzieci. I dawali ludzie, jedni przez litość, inni, aby się uwolnić od natrętnego księdza, a tak pomału pomału zebrała się sumka dosyć porządna dla zaczęcia robót koło budowy domu. Ale do końca było jeszcze daleko; ksiądz nie ustawał w zbieraniu jałmużny, i chociaż nieraz znosić musiał przykrości, wciąż tackę wyciągał. Razu jednego zaszedł do domu gry, gdzie przy zielonym stole znalazł mnóstwo osób grających w karty, a przed każdym leżały kupy złota. Ksiądz stanął za nimi, tackę wyciągnął i cichym głosem odezwał się do grających: „choć kilka groszy dla biednych dziatek!“ Wtém jeden z grających, który w téj właśnie chwili przegrał kartę, odwraca się rozgniewany, a przypisując księdzu, że ten mu przyniósł nieszczęście, uderza z całą siłą w policzek Sługę Bożego. Ale ksiądz nie okazał żadnego wzruszenia, ukłonił się tylko z pokorą, i rzekł: „to dla mnie, a cóż będzie dla biédnych dziatek?“ Rozczuleni tym postępkiem gracze, rzucili mu kupę złota, i nigdy jeszcze ksiądz Boduen nie uzbierał tyle, co dnia tego. Wkrótce dowiedział się o tém sam król Stanisław i hojną ofiarą przyszedł w pomoc klasztorowi; za przykładem jego poszli panowie i w prędkim czasie złożyli summę dostateczną na wybudowanie klasztoru i utrzymanie sierotek.—Wszyscy otaczający księdza Ambrożego z uwagą słuchali tego opowiadania, a ksiądz skończywszy, zwrócił się znowu do matki i zapytał: jakże, kobiéto, oddajecie swoje dziecko do nas? Wszakżeście biedni, nie macie służby, a zima przed drzwiami. Matka moja spojrzała na mnie, i zdawało się jéj, że ja choć miałem tylko dwa lata, patrzałem na nią z taką czułością, jak gdybym prosił, żeby mnie nie opuszczała. „O nie, zawołała matka, ja nie chcę być podobną do tych nędznych istot, co się wyrzekają własnych dzieci, mój syn nie wiele jeszcze potrzebuje, a przy pomocy Boskiéj, jeszcze na tyle zapracować mogę:—Ja cię nie namawiam, rzekł ksiądz, owszem pochwalam twoje przywiązanie; a nawet pozwalam ci zostać tu póty, póki sobie miejsca nie wynajdziesz. Pocałowała matka moja księdza w rękę, i prosiła o dopomożenie jéj do wyszukania

służby. Kiedy Bóg chce komu dopomódz, to długo i czekać nie każe; bo tegoż samego dnia jeszcze przyjechała do klasztoru jedna bogata pani, nazwiskiem Swiątkowska, a dowiedziawszy się od księdza Ambrożego o mojéj matce, zabrała ją zemną razem do swego domu, gdzie matka moja zostawała za kucharkę dla czeladzi, bo sami państwo mieli dla siebie kucharza zkądsiś tam sprowadzonego. Ja rosłem pod okiem matki, bawiłem się z dziećmi innych dworskich i miałem szczęście, gdy już doszedłem do dziesiątego roku życia, podobać się starszemu paniczowi, który wziął mnie za kamerdynera dla siebie. Panicz był niewiele starszy odemnie, to też roboty dużo nie miałem. Co dzień przychodzili nauczyciele dawać lekcje paniczowi, a ja wtedy wymykałem się do kuchni lub do ogrodu, gdziem się wybiegał, wybawił i wracałem znowu do pokoju do zwykłych zatrudnień, to kurz ścierać, to odzież pańską czyścić, to do śniadania lub obiadu służyć. W domu państwa bywał częstym gościem ksiądz Ambroży. Ten raz postrzegłszy matkę moję, którą niegdyś w tym domu umieścił, zapytał ją: no, a jakże tam wasz Antek? umié on też już co? A ja stałem tuż przy matce i śmiało odpowiadam: o, umiem, proszę księdza dobrodzieja, na drzewa włazić, gniazda wybiérać, talerze podawać, bóty czyścić. Ale ksiądz na to: a, widzicie matko, to on to tylko umié; a umié on katechizm, a wié też on, po co żyje na świecie, i na co go Pan Bóg stworzył, a umié on czytać i pisać? — Nie, ojcze dobrodzieju, tu żaden z dworskich tego nie umie, a i ja nie mogłabym tego nauczyć, bo muszę wyznać prawdę, że i sama tego dobrze nie wiem, a czytać także nie umiém. — No, to przysyłajże go codzień o ósméj rano do mnie do szkoły, ja uproszę panicza, że się na to zgodzi, u mnie nauczy się on czytać, pisać, rachować, a z czasem przyda mu się to bardzo, i z głodu nie umrze.—Ze strachem słuchałem ja téj rozmowy, matka także patrzała na mnie, a widząc, że ja nie mam wielkiéj ochoty, chciałaby księdzu odmówić, ale jakoś się bała, a ksiądz widząc to wahanie się matki, wyjął obrazek z kieszeni i dał mi go, mówiąc: masz nateraz, a często taki dostaniesz, jak na naukę do klasztoru przychodzić będziesz. Zachęcił mię ten obrazek, pocałowałem księdza w rękę i przyrzekłem codzień regularnie o ósméj do szkoły uczęszczać. Oj! nie chciało mi się nazajutrz wybierać z domu, skarżyłem się przed matką, to że mię głowa boli, to, że paniczowi jestem potrzebny, matka téż już się zgadzała, żebym nie szedł, coś mi jednak szeptało: ej, idź, to ci na dobre wyjdzie. Raptem więc przed samą ósmą zerwałem się na nogi i poleciałem do szkółki, co była w klasztorze. Wchodzę do klassy, a tam dzieci co niemiara, klęczą i odmawiają modlitwę poranną; ja téż także ukląkłem, a wciąż myślę sobie, obaczymy co to daléj będzie. Po skończeniu modlitwy jakoś mi się raźniéj zrobiło, zbliżyłem się do księdza Ambrożego, pocałowałem go w rękę, a ten posadził mię zaraz na pierwszéj ławce i odezwał się do nas wszystkich: teraz dziatki, zaczniemy się uczyć i kredą napisał na tablicy dużą literę *A* i powiedział to *a*, i kazał dzieciom to samo powtarzać, a razem pięćdziesiąt chłopców zaczęli głośno krzyczeć *a a a*. Bawiło mnie to bardzo, i ja z innemi także na całe gardło wołałem *a a*. Potém kazał mi wyjść do tablicy i narysować takąż samą literę; wziąłem krédę w rękę, ale ze strachu kreda mi wypadła, podniosłem, rysuję zupełnie takie samo A jak to, które ksiądz napisał. Po mnie pisały inne dzieci po kolei, a tak wszyscy nauczyliśmy się pierwszéj litery. Tak samo poszło z *B* i *C*; na pierwszy raz było tego dosyć. Kiedym już poznał trzy litery, pytałem siebie, na co mi się to przyda; no, znam i A i B i C, i cóż z tego? czy jestem teraz mędrszym niż wprzód byłem? i nie mogłem zrozumieć, na co mi się to kiedy zdać może. O dziesiątéj dostaliśmy po kawałku chleba z masłem, a potém znowu przyszedł inny nauczyciel ksiądz Bonifacy i ten zaczął nam opowiadać powiastki z Pisma Swiętego, a tak zajmujące, że postanowiłem sobie koniecznie codzień przychodzić, żeby słuchać tak ładnych rzeczy. Wróciwszy w południe do domu opowiadałem wszystkim com w szkole słyszał, i już uważałem się za lepszego od innych, którzy nawet tego nie umieli, czego ja się przez kilka godzin nauczyłem. Nazajutrz znowu poszedłem do szkoły, i codzień chodziłem tak regularnie, że we dwa tygodnie znałem już całe abecadło. O! wtedy, brałem już książki panicza, a odgadywałem wciąż litery i przez to tak się wprawiłem, że ksiądz Ambroży kazał mi już, żebym i drugim w uczeniu się dopomagał. W miesiąc nauczyłem się składania zgłosek i trzeba sobie wystawić moję radość, jaką czułem, gdy razu jednego spojrzawszy na podpis pod obrazkami, przeczytałem gładko:

Swięty Antoni, Swięty Józef i inne. O już wtedy i matce tłumaczyłem, kto to byli ci święci, bo ksiądz, dając nam obrazki, o każdym umiał powiedzieć coś zajmującego. Cieszyła się matka, a ja po miesiącu już poznałem, że umieć czytać i pisać na coś przydać się może. Po miesiącu już ksiądz nie dawał obrazków, bo zachęcać mnie nie było potrzeby, sam z ochotą biegłem do szkoły, żeby się czegoś nowego nauczyć. Tak upłynął rok cały, nauczyłem się czytać, pisać, rachować, poznałem główne części katechizmu i mogłem pójść do szkół publicznych, gdzie przyjęty zostałem do klassy pierwszéj. Tu nie potrzebuję opisywać jak mi szły nauki; po sześciu latach skończyłem szkoły i w ośmnastym roku życia wstąpiłem do uniwersytetu, to jest do wyższéj szkoły, gdzie się sposobiłem na nauczyciela. Od dwudziestego roku życia aż do pięćdziesiątego byłem wciąż nauczycielem w szkołach rządowych, a wysłużywszy uczciwy kawałek chleba, osiadłem w mieście Radomiu, w którém dawniéj będąc nauczycielem, lat kilka mieszkałem. Matka moja, kiedy już począłem pobierać pensję, sprowadziła się do mnie i wiek swój stary u mnie przepędziła. Starałem się, żeby wszystkie jéj potrzeby naprzód zaspokoić, potem już myślałem o sobie; bo młody bez wielu rzeczy obejść się może, co starym trudniéj przychodzi. Pielęgnowałem matkę moję do końca jéj życia, a kiedy umarła, uczułem się sierotą na świecie, tak mi nic nie było miłego. Za to do książki jeszcze bardziéj się przywiązałem, a razem do dziatek, które teraz uczyłem tego, czego mnie kiedyś uczono. Po skończeniu służby osiadłem w Radomiu, ale przyzwyczajony całe życie do użytecznych zatrudnień, nie mogłem znieść próżnowania i tęskniłem do młodzieży, z którą lat trzydzieści obcowałem. To też nic dziwnego, że na ulicy zaczepiałem chłopaków, przestrzegałem swawolnych, rozdawałem obrazki, zachęcałem do pracy i nauki, i takim sposobem wkrótce poznały mię chłopcy z całego miasta i bylem wyszedł na ulicę, biegły do mnie, wołając: dzieci, dzieci, stary nauczyciel idzie! Otaczały mię też zawsze, a ja opowiadałem im różne historje lub uczyłem czego pożytecznego. Szczególniéj zaś upodobałem czterech chłopaków, rodzonych braci, a jakim sposobem przyszedłem do téj znajomości, to wam inną razą opowiem.

Sztuka Drukarska.

Do najważniejszych wynalazków, oddziaływających najwięcéj na całą społeczność, sztukę drukarską policzyć można. Oto żywy i widoczny przykład: bez téj sztuki nie moglibyście czytelnicy nabywać wielu wiadomości, tak pożytecznych w waszym zawodzie, a znajdujących się w piśmie dla was poświęconém, w „Czytelni Niedzielnéj.“ Jéj to zawdzięczamy upowszechnienie słowa bożego i nauk, przez nią mamy wiadomości o wynalazkach, odkryciach, o obcych narodach, o dalekich krajach, jedném słowem, sztuka drukarska wywarła niezaprzeczenie największy wpływ na stan i byt dzisiejszego społeczeństwa. Wyobraźmy sobie jak to być musiało, nim druk poznano? pisać i czytać pismo bardzo mało ludzi potrafiło; najmożniejsi ludzie, królowie i książęta zaledwie podpisać swe imie byli w stanie. Oniemal tylko księża po klasztorach znali pismo i ztądto pochodzi, że cała wówczas nauka w murach klasztornych się zamykała; dla trudności i dużego kosztu przepisywania, mało nauk i wiadomości udzielało się światu; powzięte niekiedy wiadomości lub wyrobione zdania na drodze nauki, pozostawały przez długi czas w miejscu, gdzie powstawały; to téż główna przyczyna, że wieki całe, narody pogrążone w ciemnocie, nie zrobiły prawie żadnego postępu. Potrzeba wtenczas było wielkich wojen lub najazdów całych narodów, aby w skutek zmięszania się, udzielały jedne narody drugim swoich wiadomości lub przyswajały sobie jedne od drugich obyczaje. Jak to wszystko się zmieniło z wynalazkiem druku! Łatwość przelania myśli na papier, a tém samém udzielania ich drugim, zbliżyła ludzi do siebie, zbliżyła narody; jeden mógł korzystać od drugiego, język jednego narodu stał się z czasem zrozumiałym dla drugich; ztąd powstał wzrost nauk, upowszechnienie wynalazków, wydoskonalenie kunsztów; niezawiele wyrzekniem, utrzymując, że sztuka drukarska zmieniła postać świata.

Ciekawém będzie niejednemu dowiedzieć się, komu świat zawdzięcza ten wielki wynalazek.

Jan Guttenberg, urodzony w Moguncyi nad rz. Renem w Niemczech około roku Pańskiego 1400, był wynalazcą druku; są pierwsze ślady że w r. 1424 zajmował się w Strasburgu pracami drukarskiemi, lecz za stanowczy rok tego wynalazku naznaczyć można 1440.

Pierwiastkowo drukował Guttenberg za pomocą tablic z drzewa z literami nieruchomemi; sposób ten okazał się niedogodnym i zbyt powolnym; przyrządził więc czcionki czyli litery ruchome z drzewa, a te znowu w roku 1449 zamienił na odlewane z ołowiu, któryto sposób po dziś dzień po dokonaniu ulepszeń, zachowuje się. W r. 1455 wydrukował Guttenberg pierwszą Biblię to jest stary i nowy Testament Pisma Świętego w języku łacińskim. Od tego czasu rozjechali się pomocnicy Guttenberga po świecie, zakładali drukarnie, a tak sztuka ta, upowszechniając się, wywarła na świat cały, jak to wyżéj rzekliśmy, tak zbawienne i wielkie skutki. Wdzięczni rodacy wystawili w Moguncyi znakomitemu ziomkowi pomnik, który przedstawia stojącego Guttenberga, trzymającego w ręku największe swe dzieło, t. j. pierwszą drukowaną Biblję.

Dobry czyn.

Felix Drozd, zdatny i pilny robotnik, pracował w zakładach fabrycznych na Solcu; przed dwoma laty zapadł on ciężko na zdrowiu i po trzech tygodniach niebezpiecznego tyfusu, umarł.

Na kilka godzin przed śmiercią, odwiedził go jeden z towarzyszów, do którego konający już prawie Felix tak się odezwał: „Mój kochany Antoni! przez długi czas zgodnie pracowaliśmy przy jednym warsztacie; znam cię dobrze i wiem, żeś poczciwy człowiek, spodziewam się przeto, iż nie odmówisz prośbie umiérającego przyjaciela. Biedna moja matka mieszka w Rawie, posyłałem jéj co kwartał 18 rubli sr. i to stanowiło całe jéj utrzymanie; teraz, i ona umrze z nędzy, z głodu, bo któż dopomoże zgrzybiałej sierocie? Masz tu 6 rubli i rzeczy moje sprzedaj wszystkie, a co zbierzesz pieniędzy odeszlij do Rawy; mnie pochowajcie w téj bluzie w któréj tyle lat na chléb zarabiałem.

Do matki mojéj napisz, aby się nie martwiła. Łzy jéj nic mi już pomódz nie mogą, a jéj zaszkodzą, niech położy ufność w Bogu, On tak dobry!.. dotąd opatrywał nas we wszystkie potrzeby. On wróblom i jaskółkom pożywienie obmyśla, to i o niéj nie zapomni, dopóki Swięta Jego wola na ziemi ją zatrzymać zechce. Bądźcie zdrowi wszyscy towarzysze moi, niech wam Bóg nagrodzi dobroć, jakiéj od was zawsze doznawałem! Bądź zdrów Antoni przyjacielu mój bracie!... Pamiętaj!.. matka!.. o Boże!..“ i skonał. Antoni i czterej inni jeszcze towarzysze zmarłego Felixa, umówiwszy się pomiędzy sobą, regularnie co kwartał posyłali Drozdowéj do Rawy 18 rubli tając przed nią śmierć syna, przez uczucie delikatności i dopiéro po zgonie staruszki dowiedzieli się, że cała fabryka znała szlachetne ich poświęcenie się i dobroczynność prawdziwie chrześciańską.

ZDANIA MORALNE.

1. Nie wstydź się niedostatku, lecz zaradzaj mu pracą — chcesz pociechy, pomnij, że sam Zbawiciel życie w ubóstwie pędził.

2. Przebacz wszystko innym, sobie nic nie przebaczaj.

3. Przez karczmę wchodzi się do szpitala; przez Kościół do Nieba.

Podajemy do wiadomości powszechnéj, że w Zakładzie pod nazwą Przytułku S. Wincentego à Paulo, przy ulicy Chmielnéj Nr. 1527, wyłącznie dla dzieci biednych rzemieślników i służących otwartym, a zostającym pod głównym kierunkiem i zarządem JW. Hrabiny Alexandry Potockiéj, w Wigilią Bożego Narodzenia t. j. w dniu 24 Grudnia 1855 r. została wylosowaną do przyjęcia w obecności WJMX. Wojna Prokuratora Zgromadzenia XX. Missyonarzy i Członków zarządu *Teressa Surej* 8mio-letnia córka wyrobnika Antoniego i zmarłéj Petronelli Surej, zamieszkała obecnie przy ojcu w domu Wgo Jakubowskiego pod Nr. 614*f* przy ulicy Niecałéj.

Podług poprzedniego ogłoszenia w Kurjerze Warszawskim, zostanie ona przyjętą do Zakładu w dniu 2 Maja r. b.

Nowy zapis na kandydatki rozpocznie się z dniem Sgo Alexandra Węglarza, w domu Buchaltera Zarządu przy ulicy Swięto-krzyskiéj Nr. 1343, losowanie zaś na przyjęcie drugiéj kandydatki, odbędzie się w dniu Sgo Józefa t. j. Wielką Srodę. O szczegółach czytelnicy we właściwym czasie przez pismo nasze uwiadomieni zostaną.

W drukarni J. Unger. — Wolno drukować. —Warszawa d. 23 grud. (4 stycz.) 1855/6 r. — Starszy cenzor *F. Sobieszczański.*